

WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Dzieci i Młodzieży.



Bonza chiński.

NAJLICZNIEJSZY NARÓD NA ŚWIECIE.

Opracowała Tomira.

Największą ilość ludzi jednej rasy, narodowości i tradycyi, przedstawiają Chińczycy, jest ich bowiem z górą 400 milionów. Posiadają też najdawniejszą i najdłuższą historję, bo 4000 lat liczącą. Obecnie, gdy z tą olbrzymią masą ludzi walczą przedstawiciele innej rasy — białej i innej cywilizacyi, pragniemy dla ciekawości i pożytku naszych czytelników przedstawić w szeregu kilku rozdziałów główne cechy tego narodu, który pomimo niewątpliwych zalet i stron dodatnich, posiada też mnóstwo wad, przesądów i dzikości. Będziecie się często uśmiechali, czytając te rozdziały, lecz nieraz i żal was przejmie, że pomimo usiłowań i poświęceń tylu misjonarzy, nawracanie Chińczyków na wiarę chrześcijańską nieskończenie wiele spotyka trudności.

I. Charakter i zwyczaje Chińczyków.

Życie i charakter Chińczyków były dla nas zawsze okryte pewną tajemnicą. Wiedzieliśmy, że w czasach, kiedy reszta świata była jeszcze w barbarzyństwie pogrążona, Chińczycy mieli już bogatą literaturę, znali proch i kompas, umieli wyrabiać piękne jedwabne materye, śliczną porcelanę, słowem byli narodem wysoce cywilizowanym.

Lecz od paru tysięcy lat nie postąpili ani kroku naprzód. Czując swą wyższość, pogardzali innymi narodami, nie spostrzegli nawet, iż te dawno już wyszły ze stanu dzikości i przewyższyły ich we wszystkich gałęziach wiedzy.

Dopiero w ostatnich dziesiątkach lat wskutek wojen nieszczęśliwych, Chińczycy wielokrotnie pobici, muszą otwierać coraz więcej swych miast portowych dla handlu z obcymi narodami i pozwalać cudzoziemcom w Chinach przebywać.

Z tego powodu nawiązały się nieco bliższe stosunki z Monarchią Środkową, jak sami Chińczycy swą ojczyznę nazywają.

Chiny jest to przede wszystkim kraj rażącej sprzeczności; z jednej strony widzimy tam tysiące ludzi uczonych, wyłącznie w księgach zagrzebanych, z drugiej zaś miliony ciemnych wieśniaków, którzy nie wyjrżeli nigdy poza granice wioski rodzinnej; obok garstki bogaczy, żyje tam mnóstwo nędzarzy, nieustannie zagro-



Ubranie głowy chińskiej kobiety.

żonych śmiercią głodową, czy to z powodu suszy i nieurodzaju, czy też wskutek wylewu rzek i strasznych powodzi.

Ludzie bogaci w Chinach mieszkają we wspianiałych, obszernych, lecz zawsze tylko parterowych pałacach, składających się z całych szeregów sal i cienistych ogrodów, z mnóstwem kwiatów i altanek. Dachy cesarskich pałaców, a nawet domy mandarynów wyższych stopni kryte są porcelanowymi różnobarwnymi dachówkami, rzucającemi blask oślepiający, kiedy się w nich po omienie słońca odbijają.

Wnętrze salonów ozdabiają często bogate i piękne rzeźby. Honorowe miejsce w domu zajmuje zwykle ciężka i nadzwyczaj kosztowna trumna, którą dzieci ofiarowują rodzicom w 61-ą rocznicę ich urodzin.

W przedsionku pałacu stoi ołtarz domowy, poświęcony pamięci przodków, których imiona wypisane bywają na drewnianych, rzędem ustawionych, rzeźbionych tabliczkach. Tu potomkowie oddają cześć duchom swych praojców.

Zbytkowne uczyt chińskie ilością potraw znacznie przewyższają pomysłowość naszych kuchmistrzów. Ceremonialny obiad składa się nieraz z 40, a nawet i więcej dań, a trwa kilka godzin, albowiem grzeczność nakazuje gościom przynajmniej pokosztować każdej potrawy.

Do przysmaków należą tam: niezmiernie kosztowna zupa z gniazd jaskółczych, zupa ze ślimaków morskich, z pletw rekina, z nasienia lotosu i z kaczych języków, po których następują przeróżne potrawy, np. z mózgow rybnich, podszew z nóżek gołębic, dalej idą pieczone mięsiwa, z wyjątkiem zabronionej przez Konfacyusza, wołowiny i cielęciny, a nareszcie niezliczone odmiany owoców i niezwykle słodczy, jak smażone cebulki lilii, kasztany w miodzie i t. p. A wszystko to popijają biesiadnicy gorącym winem ryżowym. *)

Podobne zbytki panują w ubraniu zarówno mężczyzn, jak kobiet: kosztowne, a różnobarwne jedwabne materye, piękne hafty i drogie kamienie są ogromnie wśród ludzi bogatych rozpowszechnione.

Jednak pośród czterysta milionowej ludności chińskiej bogacze stanowią bardzo nieliczną garstkę i niewielki wywierają wpływ na życie całego narodu, dlatego też mówić o nich nie będziemy, tembardziej, że pod względem charakteru niewiele różnią się od reszty ludności.

Wszystkich Chińczyków, nie wyłączając najwyższych urzędników i bogatych kupców, cechuje niesłychana u nas pracowitość i cierpliwość.

W kraju tak gęsto zaludnionym, jak Chiny, życie stało się prawdziwą walką o byt. Aby zdobyć sobie środki do życia, Chińczyk pracować musi nieraz bardzo długo za niewielkie wynagrodzenie, lecz wiekowe doświadczenie nauczyło go, że nędzny nawet zarobek lepszy jest od żadnego.

I oto jest źródło wielkiej pracowitości, a zarazem ogromnej cierpliwości Chińczyków.

Niedoścignionem dla nas wzorem wytrwałości jest uczone chiński, który ucząc się przez całe życie, co parę lat przystępuje do egzaminów, aż wreszcie w 90-ym nieraz roku życia otrzymuje upragniony stopień naukowy, jeśli wcześniej śmierć nie zaskoczy go nad książką i nie przeskodzi mu w dopięciu celu.

Taką samą wytrwałością odznacza się najnędzniejszy żebrak, stojący u drzwi sklepu. Niepożądany to, a częsty gość, póty będzie stał cierpliwie, wyczekując jałmużny, aż dostanie skromny datek — jeden grosik miedziany.

Znana jest opowieść o pewnym Arabie, któremu skradziono piękny turban. Srodze zmartwiony swą stratą, uszkodowany udał się natychmiast za miasto i usiadł u wrót cementarza. Na pytania zdziwionych sąsiadów, dlaczego nie szuka złodzieja, odpowiadał spokojnie, jak przystało na prawdziwego syna Wschodu: „On w końcu przyjdzie tu z pewnością.”

Chińczyk w podobnej przygodzie zachowałby się w taki sam sposób: nie traci on nigdy cierpliwości i spokoju ducha.

Przysłowie nasze mówi, iż Polak głodny zawsze bywa zły. To samo powiedziec można o ludziach wszelkiej iniej narodowości. Jedyny chyba wyjątek pod tym względem stanowią Chińczycy.

Pewnego razu zaproszono około 150-u Chińczyków na ucztę. Wielu z nich przybyło z dalekich okolic o głodzie, od wczesnego rana nic w ustach nie mając. Spodziewali się, iż zastaną stoły zastawione i o 10-iej godzinie zasiądą do jedzenia.

Tymczasem, wskutek nieporozumienia, stojąc opodal, musieli patrzyć, jak inne jakieś towarzystwo raczyło się powoli, ze smakiem i rozwagą, ową cechą charakterystyczną ludów wschodnich. Dopiero o godzinie 3-iej po południu zasiedli nasi biesiadnicy do stołu.

Każdy inny lud na ich miejscu, wobec przykrego zawodu zniecierpliwiony, rzucałby się z gniewu, oburzał; Chińczycy zaś spokojnie, ani na chwilę nie tracąc dobrego humoru, ze szczerą uprzejmością zapewniali gospodarzy, iż chętnie poczekają i że z równą przyjemnością zasiądą do uczyt choćby o najpóźniejszej godzinie.

Nie znaleźlibyśmy chyba w Europie ludzi, którzy, wystawieni na tak ciężką próbę cierpliwości, cały dzień o głodzie, podobny spokój i grzeczność zachowaliby umieli.

Chińczycy znoszą wszelkie przeciwności losu z mężstwem i ogromnem poddaniem się, a przykłady tego widzimy na każdym kroku. Pewien niewidomy Chińczyk przybył do lekarza, aby dowiedzieć się, czy może jeszcze wzrok odzyskać, dodając przytem z ujmującą prostotą, że jeśli to niemożliwe, przestanie się już martwić swym losem. Po zbadaniu ocz, lekarz oznajmił, iż nie ma żadnej nadziei ratunku. Usłyszawszy to biedny kaleka wyrzekł: „Teraz uspokoi się przynajmniej serce moje.” Otóż myliłby się, ktoby sądził, iż w słowach tych brzmi cicha rozpacz. Jest to tylko właściwa Chińczykom cierpliwość, dzięki której spokojnie i bez narzekania znoszą ciężką swą dolę.

Cierpliwości tej towarzyszy zupełna pogoda umysłu. Chińczycy czują, jak trudne są warunki ich bytu, lecz rozumieją zarazem, że zmienić ich nie są w stanie, zatem znoszą zło cierpliwie, nawet wesoło i to ulgę im przynosi.

Pogoda ich umysłu objawia się w wesołych pogawędkach ze znajomymi, a nawet pierwszy raz spotkanymi ludźmi. Gwarząc z sąsiadami, zapominają o swych zmartwieniach i smutku.

(d. c. n.)

*) Szczegóły te wzięte z książki p. Gordon Cumming: „Życie w Chinach” w przekładzie Dra Wiktora Wolskiego

Zofia Urbanowska.

ROŻA BEZ KOLCÓW.

Opowiadanie osnute na tle przyrody tatrzańskiej.

(Dalszy ciąg).



Sorex.

— *Sorex alpinus*, Recek halny — skarżył się tonem dziecka, któremu odebrano cukierek — wyobraźcie sobie, że okaz ten rzadkim jest nawet w Alpach, a tu go niespodzianie znalazłem i straciłem z oczu nie przypatrzwszy mu się nawet. Zapach piżma, właściwy temu zwierzątku dawał mi już do myślenia, że

ono tu gdzieś blisko przebywa jakoż nie omyliłem się. Przyszedł tam widocznie na polowanie, bo ślimaki spadają z drzew do groty przez wierzch kotła.

— Recek, czyli Kretomysz — powtórzył doktor. — Słyszałem, że to jest amator myszek.

— Doprawdy? — zdziwił się Henryk — a sam jest podobny do myszy.

— Tylko ma pyszczek więcej wydłużony i zakończony ryjkiem. Zwierzątko to żyjące do wysokości 2,000 metrów nad poziomem morza, jest bardzo pożyteczne jako najlepiej ochraniające lasy, ponieważ tępi niesłychaną moc liszek, poczwerek, ślimaków i innych szkodników, których nigdy mu nie dosyć. Roślinnych pokarmów nie tyka wcale, nawet wtedy gdy jest głodne.

— Taty mają jeszcze dwie odmiany Recka, panie Strand — odezwał się doktor — widziałem je w Muzeum tatrzańskim, Pygmejczyka i Rzęsorka.

Henryk chciał się dowiedzieć jak te zwierzątka mieszczą i profesor rad, że znalazł uważnego słuchacza, powiedział mu, że Rzęsorek ryje sobie nory w miękim gruncie w pobliżu wody, albo korzysta z nor kretów i myszy. Nora jego ma liczne ujścia: w wodzie, na powierzchni wody i na łądzie. W wodzie porusza się bardzo szybko biegnąc po dnie, a myszy, żaby i ryby znajdując w nim niebezpiecznego wroga. Przepada za ikrą.

— No, w potoku kościeliskim chyba nie ma co jeść — wtrącił malarz.

— Ja też nietylko o potoku kościeliskim mówię, ale o ich ogólnych zwyczajach. Sposób łowienia, przez nie ryb, świadczy o wielkiej ich zmyślności. Taki Rzęsorek napędza zarybek w płytkie miejsca i mąci wodę dokoła. Gdy rybka chce obok zwierzątka przepłynąć, zostaje natychmiast schwytaną.

— O czym myślisz? — zapytał malarz Henryka, który stał zadumany.

— Myślę, panie Jakóbie, że skoro ślimak i kretomysz tak wzruszają profesora, co to będzie, gdy znajdzie swego Brahiopoda? — Chyba nie zniesie takiego szczęścia!

Doktor rozśmiał się. Było już około południa, gdy turyści nasi wrócili do schroniska, gdzie zastali już obiad gotowy. Jerry gdy ujrzał nadchodzących, wziął ostry nóż, ukrajał kilkanaście wierzchnich zrazów tej rzadkiej i osobliwej zwierzyny i podał na stół. Nie zagustowano jednak w niedźwiedzynie, choć każdy obowiązkowo ją chwalił. Czy nieprzyzwyczajenie do tej potrawy, czy niedostateczna ilość soli, czy smak nieco słodkawy, sprawiły, że wszyscy przymuszali się tylko. Ten i ów wziął kilka kęsów i położył widelec. Sir Edward odezwał się, że pieczeń ta byłaby wyborna, gdyby ją można jeść z sałatą. Doktor usłyszawszy

to życzenie zapytał, czy byłoby czem zaprawić sałatę, gdyby się przypadkiem znalazła, bo jak wiadomo, do sałaty trzeba koniecznie octu i oliwy.

Baronet spojrzawszy przenikliwie na Jakóba i odgadując że zapytanie zostało nie bez celu zrobione, odezwał się:

— Więc gdybyśmy mieli oliwę i ocet, pan podjąłby się nam dostarczyć sałaty?

— Podjąłbym się.

— Wydaje mi się to dziwnem: sałaty bowiem nie rosną na skałach; potrzebują odpowiednich warunków i starannej uprawy.

— A jednak nie cofam swej obietnicy.

— Rozumiem już — rzekł Warburton z domyślnym uśmiechem — została przywieziona z Zakopanego.

— Nie: sałata ta urosła w dolinie Kościeliskiej

Baronet pokręcił głową, zawołał Jerrego i zapytał, czy miałby czem przyprawić sałatę, a otrzymawszy twierdzącą odpowiedź, zwrócił pytające spojrzenie na doktora.

Jakób skinął na górala, a ten podał mu koszyk napełniony rzeżuchą, której narwać kazał w Lodowym potoku, aby ją przywieźć do Zakopanego. Gdy podniósł przykrywą nastąpiło ogólne zdumienie, a doktor rzekł:

— Nie jest to zwyczajna sałata głowiasta, ale drobno-listna soczysta rzeżucha wodna, która nam przydać się może.

Jerry jak tylko spojrzawszy na rzeżuchę, zaraz się poznał na jej wartości i oświadczył, że gdy służył u księcia Buckingham, podawano ją często na stół. Zabrał koszyk i wkrótce przyniósł sałatę na salaterce, przyrządzoną podług wszelkich prawideł kuchni angielskiej. Teraz pieczeń z niedźwiedziny zupełnie inaczej smakowała; wszyscy zjadali z apetytem, a sir Edward dziękował Henrykowi i doktorowi, że dzięki im jadł obiad prawdziwie tatrzański, i zachęcał do wina, będącego także produktem południowej strony tych gór.

Górale i juhasy użyli niedźwiedziny do syta. Objedli mięso do kości, a sadło topione łykali, jak największy przysmak. Używał też pies kudłaty, który wytropił profesora w grocie.

XIII.

Tęcza na ziemi.

Po śniadaniu spakowano bagaże i ruszono w drogę. Idzie się do tego Krakowa po ściółce z granitowych kamieni zasypującej niewielki trójkąt. Górny jego koniec prowadzi do szczeliny różnie szerokiej. Bywa tak wązka, że tylko jeden człowiek nią wejdzie, wówczas na bokach są jakieś pieczary w skale, nad głowami sklepienie popękane i poprzerywane i drzewa rosnące po ścianach, więc tkwiące korzeniami w drobnych rozpadlinach; bywa i tak, że kilkunastu ludzi mogłoby iść szeregiem, gdyby natura gruntu na to zezwoliła. Turyści nasi postępowali coraz wyżej, po złomach pokrytych mchem i porostami obslizgłymi od wilgoci, przez kłody drzew dawno zwalonych napół spróchniałych, po ogromnych stosach kamieni, a cała ta droga dzika, pełna była niespodzianek; miejscami było prawie mroczno z powodu wybiegających ponad głowami skał. Woda sączy się tam cieniutkimi nitkami z gór i spływa pod głązy, przepadając między niemi, a szmer ten cichy, brzmi jak nieśmiałe szepty, lub skarga duchów górskich. Ze szczelin wychylają się wspaniałe wachlarze paproci, a po bokach wieszają bogate festony roślin. Z głązu na głąz przeskakując, spinając się po wysokich progach, szli cingle w górę, a malarz zwracał uwagę cudzoziemców na fantastyczne kształty skał, w których upatrywano podobieństwo do gmachów Krakowa i nazywał je po kolei:



Viola alpan.

Sukiennice, Kościół Panny Maryi, Ratusz, Rynek i tam dalej. Profesor trzymał się ręką skały, Henryk dwa razy się poślizgnął, ale był w doskonałym humorze, bo u wejścia do Krakowa znalazł żółte fiołki.

— Gdzież jest owa Smocza jama, o której słyszalem? — zapytał baronet. — Gdyby mi się udało znaleźć w niej smoka, pokonać go i zabrać do mego muzeum w Rochdale, zazdrościłaby mi tego cała Anglia!

— A jeżeli w Smoczej jamie siedzi niedźwiedzica z młodemi, i rzuci się na nas — wtrącił żartobliwie doktor.

— Mamy z sobą noże — odrzekł malarz.

— I rewolwer — dodał sir Edward.

— I skole *) — dokończył Sabała.

— A zresztą mamy z sobą młodego bohatera, który nas obroni — dodał Walter spoglądając życzliwie na Henryka.

Smocza jama była na lewo. Gdy weszli do niej objęło ich ciemno i zimno. Sabała mówił że pochodni zapalać nie warto, bo zaraz będzie wylot. Szli więc chłodnym kuzgankiem, a choć doktor żartował głośno, mówiąc o niedźwiedzicy, nikomu jakoś podtrzymywać się tych żartów nie chciało po nocnej pogodzie. Była nawet chwila, że Henrykowi włosy powstały na głowie, a każdy sięgnął po broń, jaką miał przy sobie. U wylotu, który przeblyskiwał zdala, coś się ruszyło i słychać było jakiś szmer. Ale za zbliżeniem się, zamiast niedźwiedzicy ujrzano kilka małych górali, siedzących u wylotu z pękami szarotek i lodowych goździków. Obskoczyły one turystów, ofiarując kwiaty. Baronet kupił dwa bukietki i dał im papierka.

Miejsce, na którym się znajdowali, było wysoko położoną halą, gdzie się bydło pasie i z kąd owce rozchodzą na okoliczne skały. Widać je było zdala na turniach naksztalt ruchomych paciorków, czarnych i białych, a odgłos dzwonek aż dotąd dochodził.

— Gdzie jesteśmy — zapytał Anglik.

— Pomiedzy Sową a Pisaną.

— A zatem cofnęliśmy się?

— Tak, choć niewiele.

— A czy możemy ztąd wyjść na Wierchy Czerwone?

— O, nie! Trzeba wrócić do Krakowa.

Sabała został na hali, i miał tędy zejść do Kościelisk, gdzie było jego stałe mieszkanie, a znajomi nasi wrócili do Krakowa i pieli się w górę szczeliną ku wierchom, przez dzikie, ślizkie bezdroża, a tak niebezpieczne miejscami, że tylko dzięki przytomności przewodników, umiejących w danej chwili podać rękę, pociągnąć lub podeprzeć, wyszli z tej wyprawy bez szwanku. Ubranie darło się wanku, zaczepiane ustawicznie o ostre kanty, a na rękach były krwawe ślady. Baronet kilkakrotnie obejrzał się na Henryka, ale chłopiec szedł bardzo dobrze, a profesor więcej posu-

wał się na czworakach, czyniąc przytem spostrzeżenia nad uwarstwianiem skał, przyciem o mało znowu nie zgubił okularów. Góral unosił go prawie. Gdyby nie jego nieustanna pomoc, wpadłby niezawodnie w jaką przepaść.

(d. c. n.)

POCAŁUNEK SŁOŃCA.

Baśń

przez Z. Potworowską.

(Dalszy ciąg).

Na piersiach młodego królewicza spoczywa wizerunek świętego króla i Orlik często modli się do niego i prosi o natchnienie.

Poblady królewicz, oczy w głąb wsunięte pałają gorączkowym blaskiem i bezmierną tęsknotą. Za czem tęskni i o czem marzy, gdy siedząc wieczorem nad brzegiem jeziora, topi wzrok zadumany w księżycu blaski, igrające na powierzchni wody? On marzy o szczęściu dla ludu swego, bo go nad wszystko ukochał.

— O słońce — woła, załamując ręce — zmieć ze świata fałsz i obłudę, a zasiej dobro i prawdę.

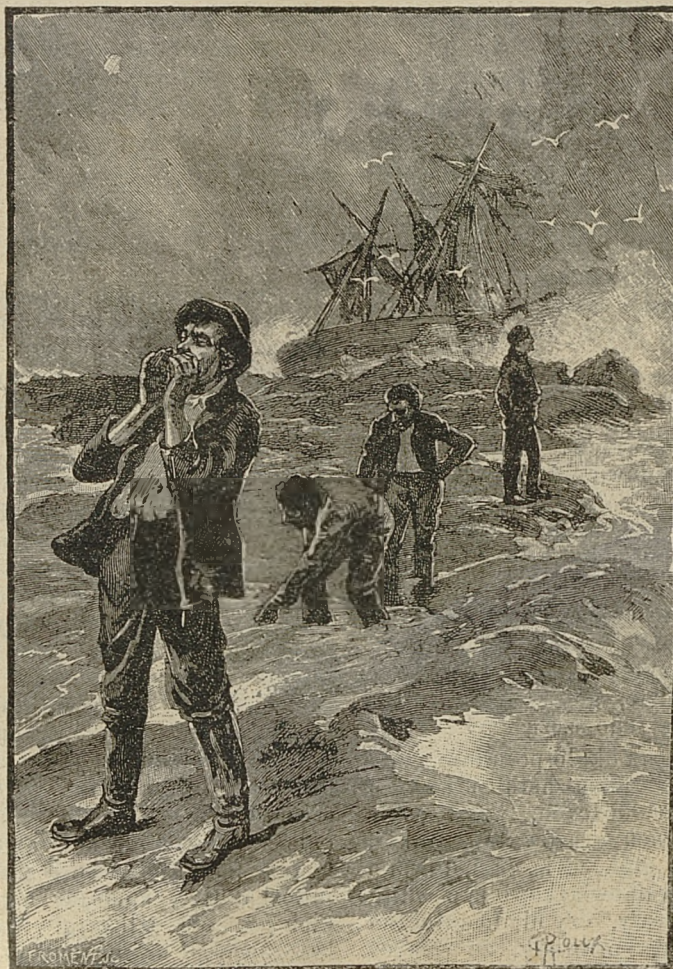
Dnia jednego Orlik wstał zwawszy i wesoly; w sercu jego spokój i przecucie czegoś bardzo dobrego. Z radosną pieśnią na ustach udaje się do sławnego mędrca, u którego chce spędzić parę tygodni, by zacerpnąć wiadomości do dobrego rządzenia państwem. Cienie na ziemi rysują się coraz dłuższe, słońce chyli się coraz niżej, a do mędrca daleko, trzeba się spieszyć, by zdążyć przed nocą. Nie pomógł jednak pospiech i noc czarna zaskoczyła Orlika wśród ciemnego lasu.

— O, wielka rzecz — zawołał wesoło — noc ciepła, prześpię się doskonale pod tym starym dębem.

Kładzie się królewicz na zielonej murawie, wkrótce zasypia i śni o świętym królu i o pocałunku słońca.

Słońce już wysoko świeciło na niebie, gdy Orlik naza jutrz otworzył oczy. Czuł zmęczenie we wszystkich członkach, leżał więc spokojnie i marzył. Na gałązce, nad głową jego ptaszek piosenkę zanucił... Spojrzał w górę a tu śliczna ptaszyna, kręcąc główką na wszystkie strony, wywodzi trele. Niżej pająk ogromny buja się na pajęczynie. Orlik z ciekawością zaczyna się przyglądać pracowitej jego robocie. Pająk biegnie szybko z listka na listek, spuszcza się niżej

Do pow. Testament Dziwaka.



*) Kamienie.

Turk wołał i szukał komodora.



Polowanie na żyrafy.

spoczywa na gałązce i ciągle w kółko a w kółko rośnie jego praca, a im bliżej końca, tem szybciej przebiera nóżkami i ciągle biega w kółko, a w kółko.

Nagle zatrząsły się listki dębu, pajęczyna poruszyła się gwałtownie i śliczna muszka wpadła w sieć pająka. Skrzydelka jej złote, a oczy jak turkusy! Biedne stworzenie wszystkimi siłami stara się uwolnić ze strasznych splotów, lecz próżne szamotania, więzy mocne nie dadzą się zerwać.

Ulitował się królewicz nad losem ślicznej złotej muszki i zerwawszy gałązkę oswobodził ją szczęśliwie. Z radością fruwała w górę, następnie usiadła na ręce Orlika i szepnęła z cicha:

— Dziękuję.

— Kto ty jesteś — pyta zdumiony Orlik — może czarowaną istotą ludzką?

— Nie, jam złota muszka.

— Skąd jesteś?

— Daleko stąd ojczyzna moja. Chcesz? Zaprowadzę cię do władcy mego, u niego najłatwiej zdobędziesz dar najcenniejszy.

— Skąd wiesz o moich poszukiwaniach?

— O, ja wiem dużo!

— Proszę, zaspokój ciekawość i powiedz skąd jesteś?

— Słońce ojczyznę moją! Słońca kraina ozłociła mi skrzydła.

Orlik słucha oniemiały.

— Powtórz, złota muszko i powiedz, czy nie żartujesz? Więc tybyś mogła...

— Tak, mogę cię zaprowadzić tam, gdzie twój pradziad gościł, mogę nawet wyjednać dla ciebie posłuchanie u wielkiego władcy krain słonecznych, u potężnego Słońca.

— O Słońce! Słońce! wysłuchałeś próśb moich i zesłałeś mi złotą muszkę — i zapłakał Orlik serdecznymi łzami.

— Słońce cię kocha, Orliku, bo masz duszę piękną.

— Muszko złota, a jaką drogą pójdziemy?

— Nim noc rozpuści swe włosy ciemne i okryje niemi ziemię, musimy już być przed pałacem Słońca, spieszymy się więc, Orliku.

— Jam gotów.

— Dotknij się skrzydeł moich.

Uczynił to Orlik i w jednej chwili mała muszka gdzieś znikła, a jej miejsce zajęło dziwne kształtu stworzenie o dwóch olbrzymich złotych skrzydłach, delikatnych jak pajęczyna.

— To ja, Orliku, złota muszka — odzywa się to zagadkowe stworzenie, siądź na grzbiet mój, ja trzymać cię będę przednimi łapkami i pofruniemy daleko... wysoko... a szybko, szybko...

* * *

Zdumiony Orlik patrzy i oczom swoim nie wierzy! Olbrzymi pałac cały uwity ze splotów płomiennych, które migają, pełzają po ziemi, strzelają do góry, a jednak wciąż stoją w miejscu i wciąż również wielkie i równie świecące! A barw w tych płomieniach tak dużo! Wchodowa brama to ognie czerwone, dalej białe, błyszczące jak srebro, tu znów różowe mienia się odcieniem i liliowym i błękitnym. A z boku wieża jak snop płomieni żółtych, z których tryskają na wsze strony niebieskie i czerwone iskry.

— Co to? — pyta Orlik, wskazując na dół ku jakimś ogniom niebieskim.

— To woda! nasza woda!

— Woda!

Patrzy Orlik, wzruszenie i zachwyt tamują mu oddech w piersiach.

Z szumem płynię ta woda ognista i tworzy bałwany: fale ze wstęg srebrzystych, które u góry zlewają się w niebieskie płomienie i następnie znów rozdzielają się i jako iskry srebrne wpadają do tej wody płomiennej.

— A teraz Orliku — szepcze muszka — pójdziemy do władcy naszego — i pofrunęła naprzód, a za nią idzie Orlik jak nieprzytomny.

Różnobarwne ognie migają i sypią iskrami... Orlik staje niepewny...

— Wejść śmiało — szepcze muszka wesoło.

Wchodzi królewicz, a przed nim rozstępują się płomienie i tylko nad głową jego łączą się w sploty i drżą zdziwione tym ziemskim gościem.

W oddali na wzniesieniu z białych, matowych płomieni, stoi młodzian o twarzy anioła, kędziarach jasnych i dużych oczach niebieskich, a głębokich jak morskie otchłanie. Na ramionach pali się płaszcz purpurowym blaskiem, na głowie korona misternie uwita z cieniutkich jak pajęczyna płomieni złotych, które drżą, i lśnią i płoną!

— Witaj Orliku!

A Orlik stoi nieporuszony... Uśmiecha się wielki władca i dotyka ręką ramienia chłopca... a on? pada na kolana i szepce z miłością:

— Słońce.. Słońce..

Gdzieś z góry spływają tony melodyi anielskiej i w tejże chwili płomyki drgające życiem, stają nieruchome, jakby wsłuchane w pieśń uroczą... i tylko płonie płaszcz królewski, i tylko płonie korona złocista!...

— Orliku, ty będziesz panował, bo dam ci dar cenny, który uczyni cię wielkim nad wielkimi! Pocałunek słońca zaniesiesz do państwa. A pocałunek mój da ci siłę i zdrowie, hart duszy i serca, pocałunkiem tym wytepiac będziesz zło i brud na ziemi. On palić będzie jak żar tych, co zło kryją w sercu i palić będzie póty, aż złości nie wypali, aż czarnej sady nie zmyje z duszy!

Kłęczy Orlik i słucha szczęśliwy! Och tak szczęśliwym czuje się najmłodszy syn Potęgosaława!

Zbliża się wielki Władca, nachyla nad kłęczącym młodzieńcem i składa na czole jego święty pocałunek. Krzyknął Orlik i padł zemdlony.

* * *

(d. n.)



POLOWANIE NA ŻYRAFY.

Jest w Hamburgu pewne przedsiębiorstwo, które dostarcza dzikich zwierząt wszystkim zoologicznym ogrodom i większym menażeryom. Ma stosunki nadzwyczajnie rozgałęzione we wszystkich częściach świata i specjalnych agentów, którzy na każde żądanie wysyłają swych myśliwych, po części krajowców, na połów danego zwierza.

Jedną z większych ozdób ogrodów zoologicznych jest żyrafa, od niedawnych czasów już dosyć rozpowszechniona. Znano ją także w starożytności u Greków i Rzymian, a Pliniusz, sławny starożytny przyrodnik powiada, że Juliusz Cezar był pierwszym, który sprowadził żyrafę do amfiteatru w Rzymie. Od tego czasu często ją widywano w „wiecznem mieście,” gdyż imperatorowie szukali w ten chluby, aby pokazać ludowi na igrzyskach zwierzęta sprowadzone z odległych krajów, które wchodziły w skład ich olbrzymiego państwa.

Lecz w ciągu XVI-go, XVII i XVIII-go stulecia, żadna żyrafa nie dostała się do Europy, a z powodu niedokładnych wiadomości o Afryce, jej ojczyźnie, nie było słyszano o tem osobliwym zwierzęciu. Znano je tylko z opisów, które doprowadziły do wniosku, że żyrafa była jakimś bajecznym zwierzęciem, tak nie mogli sobie ludzie wyobrazić, aby istniało podobnie nieproporcjonalne stworzenie.

Tułów żyrafy przypomina budową konia, ale tak jest spadzisty ku tyłowi, że kłęb o 1/2 metra wyższy od krzyża, szyja niesłychanie długa, podobna do wielbłądziej, na niej osadzona jest mała, zgrabna główka, podobna do głowy końskiej, o ślicznych czarnych oczach gazeli. Na głowie sterczą zamiast rogów dwa małe wyrostki kostne, pokryte skórą włosom porośłą. Uzupełnijmy jeszcze ten opis dodaniem, że ogon żyrafy jest potężny, na podobieństwo osłego, a będziemy mieli obraz tego najoryginalniejszego i najwyższego zwierzęcia.

Anglicy, jak wiadomo, podróżują najwięcej ze wszystkich narodów, bo mają dużo pieniędzy, a przytem lubią szukać wrażeń po świecie. Tych wrażeń dostarczają najczęściej polowania; w gorących zaś krajach poluje się zwykle dla bezpieczeństwa w liczniejszym towarzystwie. Otóż pewien Anglik przyłączył się do myśliwych owego hamburgeskiego przedsiębiorstwa, o którym mówimy, i tak nam opisuje polowanie na żyrafy:

Zaledwie świtać zaczęło, wyruszyliśmy w drogę, częścią na dzielnych rumakach, częścią na wielbłądach. Wkrótce znaleźliśmy się w zaroślach stepowych, wśród parasolowych krzaków mimozy, pokrytych mchem i pnąciami roślinami. Nie w pustyni, ani też w gęstym lesie, ale tu przebywa to podzwrotnikowe stworzenie i za pomocą swego długiego, robakowego języka zrywa liście i gałązki. Tutaj dzięki brudno-białej, brunatnymi płatami pokrytej sierści, tak zlewa się z otoczeniem, że z pewnej odległości trudno je dojrzeć. Za pomocą lunety spostrzegliśmy, że żyrafy swoim zwyczajem, stały na pagórku, aby z tego miejsca móżdź lepiej rozrzeć się po okolicy. Trzeba było zbliżyć się z nadzwyczajną ostrożnością, okrążając pagórek.

Podejście udało się znakomicie, biedne zwierzęta żerując, nie przeczuwały bliskości wroga. Z błyskawiczną szybkością myśliwi zarzucili lassa — i, bywaj zdrowa na zawsze, swobodę złota!

Tę właśnie chwilę zarzucenia lassa przedstawia nasza rycina.

TESTAMENT DZIWAKA,

POWIEŚĆ

JULIUSZA VERNE'A.

przekład M. D.

(Dalszy ciąg).

— Albo to nam pierwszy raz w życiu — zawołał Turk — wziąć się za bary z burzą. Niechże tam sobie wiatr trochę poszaleje, byleby nas tylko pełną naprzód.

Huelkar kiwnął głową i mruknął:

— Dobry wiatr, dobra rzecz... Tylko coś mi się zdaje, że dziś czeka nas taniec nielada.

Komodor milczał. Znadto dobrze znał morze, by mu dzisiejszy jego wygląd nie nasuwał obawy groźnej burzy, wobec której dwumasztowiec nazbyt słaby mógł stawić opór.

Zaraz też z południa, wiatr to podnosił się gwałtownie to cichł zupełnie, tak, iż niewiadomem wprost było jak użyć żagli, a wzburzone coraz więcej fale rzucały Chicolą niby lekką, kruchą lupiną.

Przez noc stan ten pogorszył się jeszcze. Ostatecznie Huelkar zwinął wszystkie żagle i sam sterując, trzymał się o ile można bliżej brzegów, aby w którejkolwiek z licznych tam przystani znaleźć konieczne schronienie. Gdy więc rano 23-go, mimo gęstą mgłą okrytego widnokregu, dojrzał wreszcie ląd, rzekł do komodora:

— To musi być zatoka Whitewater, wrzynająca się głęboko w półwysep, gdy wązki a długi przylądek Sable, oddziela ją od cieśniny Florydy.

— Więc jeszcze kilkanaście godzin wysiłku, a stanienie u celu — odpowiedział Urrican.

— Tak, ale wysiłek na nic się nie zda — trzeba nam przeczekać tu burzę.

— Niech ci się o tem ani marzy — zawołał Turk. — Raz tam zawinąwszy, przy takim wietrze musielibyśmy zostać na miejscu, lichy wie jak długo..

Komodor milczał.

— Poczekać moglibyśmy trochę dłużej, to prawda — jeżeli nas jednak prąd uniesie od przylądka Sable, a wiesz jaki on tam gwałtowny, to nie zajedziemy i tak do Key-West, ale do Bahama, lub zgola na otwarty ocean.

Komodor milczał ciągle, tylko z zaciśniętych zębów widać było, jaka w nim wrzała wewnętrzna walka.

Nie, nie!... Raczej życie poświęci zanim wyrzeczę się milionów Hypperbona!

— Kieruj na morze — rozkazał wreszcie Huelkarowi.

Zabrali się więc na nowo wszyscy do pracy, stawiając opór nietylko burzy, lecz coraz silniejszemu prądowi, który pociągał statek ku najeżonemu skałom i rafami przylądka Sable. Po kilku wszakże godzinach nadmiernego wysiłku, przekonano się, że zamiast posuwać się naprzód, statek kręcił się tylko jak w zaczarowanym kole i znowu zatoka Whitewater zamajaczyła w pobliżu.

— Trzeba nam tu koniecznie przeczekać burzę, panie komodorze — rzekł teraz stanowczo Huelkar.

— Nie — odpowiedział krótko, lecz równie stanowczo Urrican.

— Ale ja nie chcę mego statku zatopić...

— Kupię ten twój statek...

— Chicola nie jest do sprzedania.

— Każdy statek może być do sprzedania, za dobrą cenę.

— To ileż pan daje?

— Dwa tysiące piastrow. *).

— Hm... hm... — mruknął Huelcar, olśniony tak wysoką ceną.

— Płacę ci podwójnie, uważ to sobie! Jeden tysiąc za kadłub statku, drugi za twój własny...

— Kiedy otrzymam pieniądze?

— Z przybyciem do Key Westu dam ci czek na bank, zaraz płatny.

— Niechże będzie... Zgadzą się!...

— Więc nie trać czasu! Naprzód!

Teraz Turk ujął ster dwumasztowca i choć bałwany rzucały nim jak piłką, i co chwila zalewały wodą, tak, iż ją trzeba było, z obawy zatonięcia ciągle odlewać, dzięki jednak zręczności i wytrwałości marynarzy, a więcej jeszcze przyjaznej zmianie kierunku wiatru, Chicola posunęła się trochę ku południowi.

Cóż kiedy znów nowa znalazła się przeciwność. Z na dejsciem nocy mgła zaciemniająca już poprzednio widnokrug, stała się tak gęstą, że o parę kroków nie już widać nie było i sam nawet Huelkar zmiarkować nie mógł, gdzie się właściwie znajdowali. Domyślał się tylko, że muszą już być dość blisko owego szeregu drobnych wysepek, wśród których leży Key West, tuż przy cieśninie Floryda z jej gwałtownym Gulf-strömem.

— Gdyby nie te przekłete mgły, powinniśmy już widzieć latarnię Key-Westu — rzekł — a tu morze zdradliwe, pełno wszędzie skał i raf. Lepiejbyśmy przeczekali do rana, nie ruszając się z miejsca.

— Nie czekam ani chwili — odpowiedział komodor.

— Ha, wola pańska! Bylebyśmy tylko nie odpokutowali tego...

Płynęła więc dalej Chicola, wprawdzie po spokojniejszych już nieco wodach, lecz wśród zupełnej ciemności, aż nad ranem o godzinie 5-ej nastąpiło jedno, drugie i trzecie gwałtowne wstrząśnienie, i równocześnie z trzaskiem rozbijającego się o skałę statku, dał się słyszeć krzyk krótki, urywany.

W głosie tym Turk poznał swego pana.

Zawołał na niego, lecz nie dostał odpowiedzi. Przebiegł pokład dokoła raz i drugi, w ciemności nie dojrzeć nie mógł, tylko słychać było jak przez powstały w statku wyłom, woda napływa z szumem, i czuli wszyscy, że Chicola tonąc, przechyla się szybko na bok.

Korzystając z krótkiej chwili w której mglistą zasłonę wiatr rozrzedził nieco, Huelcar ze swymi ludźmi ratując życie, wskoczył na skałę, będącą prawdopodobnie przyczyną nieszczęścia. Za nimi poszedł Turk zrozpaczony, nawołując, szukając.

Lecz gdy próżne okazały się wołania, i próżne poszukiwania, łzy rozpacz spłynęły po policzkach wiernego towarzysza Urricana.

Czyż ujrzy on jeszcze kiedy groźnego komodora, który mu był jedyną drogą istotą na świecie? Sam już począł wątpić o tem...

Nareszcie zabłysły pierwsze brzaski dnia i w szarawem tem półświecie ujrano cały szereg to złączonych z sobą, to pojedynczo sterczących skał białych, o które Chicola uderzając, przedziurawioną została, a łódź jej na drobne strzaskaną drzazgi

Teraz wszyscy zabrali się do odszukania komodora. Ale nie było to rzeczą łatwą. Ze skały na skałę przeskakując z narażeniem własnego życia przodował innym wierny Turk, aż wreszcie dojrzał nieruchomą postać nawpół zanurzoną w wodzie, z głową na kamieniach wśród kałuży krwi. To komodor; tak, to on niewątpliwie.

W jednej chwili Turk był już przy nim, już objął go w swe ramiona, wstrząsał, przemawiał, błagał o odpowiedź. Ciało było jeszcze ciepłe i lekkie bicie serca wyczuwać się dało. Nadzieja zabłysła w sercu poczcivca.

— Żyje jeszcze, żyje! — począł wołać — chodźcie tu, bracia, spieszcie na ratunek!..

Komodor Hodge Urrican strącony gwałtownem wstrząśnieniem z pokładu, uderzył najfatalniej głową o ska-

*) Piastrow równa się 12-u groszom.

łę, a poniósłszy w niej ciężką ranę, nie odzyskał już ani na chwilę straconej przytomności i słaby bardzo puls przy znacznem upływie krwi, przedstawiał stan groźny, beznadziejny prawie.

Wyniesiono go teraz spieszenie na miejsce suche, gdzie przypływ morza nie dosięgał, i udzielono pierwszej pomocy, ściągając rany bandażami z podartej naprędece bielizny.

Czynności te zabrały około godziny czasu, i mgły już opadły na dół, a pogodny zajaśniał ranek na świecie, gdy Huelkar rozejrzawszy się dokoła, wskazał ręką, wołając:

— Patrzcie, oto latarnia Key-Westu

Rzeczywiście, w odległości zaledwie czterech mil an. rysowała się wyraźnie wieża latarni morskiej, której światło byłoby w nocy zbawczym punktem kierunku dla Chicoli, gdyby nie owa nieszczęsna mgła.

A tak: statek rozbity, komodor ciężko ranny i nieprzytomny, bliższy niezawodnie śmierci aniżeli życia, potrzebujący spiesznej i umiejętnej ręki chirurga, czego nawet mieć nie może dopóki nie nadjedzie wypadkowo w te strony jaka łódź rybacka, której właściciel zgodzi się odwieść go na wyspę

Wierne serce Turka cierpiało niewymownie w tem nieszczęściu. Oczywiście, myślał on już jedynie o uratowaniu życia komodora, bo dalszy ciąg gry i wygranie milionów Hypperbona uważał za niepowrotnie stracone. Jeżeli wszakże ranny wróci do zdrowia, jakże strasznie będzie się martwił tak nieprzyjaznym sobie losem!

Było już około 10-ej, gdy marynarz z Chicoli stojący na straży na jednej z najwyższych skał, zawołał z radością: — Łódź, łódź na morzu!..

Na tę wiadomość rozpozgodziły się oblicza wszystkich, nawet Turk zerwał się spieszenie od swego pana, aby pomagać drugim w przywoływaniu rybaka, a skoro ten z łodzią swą przybył, złożono w niej przedewszystkiem zawsze jeszcze nieprzytomnego Urricana, poczem reszta rozbitek unieściła się jak mogła i ruszono w stronę Key-Westu.

— A więc jeszcze nie wszystko stracone, jeszcze może uratować go zdołam — pocieszał się Turk przez czas przeprawy...

Pędzona przyjaznym wiatrem łódź, przebyła szybko przestrzeń czteromilową i już o kwadrans na dwunastą zatrzymała się w porcie.

Chociaż małą, bo liczącą zaledwie jedną milę szerokości na dwie długości, jest wysepka Key-West, jednak miasto które się na niej pobudowało w cieniu d zew podzwrotnikowych, wzrosło szybko i wzrastać jeszcze będzie dzięki swemu położeniu, czyniącem je jednym z ważniejszych punktów dla żeglugi w wielkiej zatoce Meksykańskiej. Ze zaś prowadzi też ożywiony handel, łączącą z głównymi miastami Unii liczne druty telegraficzne i takąż podmorska komunikacja z Hawaną.

W chwili, gdy łódź rybacka wjeżdżała do portu z uratowanymi rozbitekami, znajdowało się tam już mnóstwo lu-

dzi w niecierpliwem oczekiwaniu powitania szóstego partnera, o którego koniecznym przybyciu w dniu tym wiadomieni byli — lecz nie mieli najinniejszego pojęcia o tem, jakiemu nieszczęsnemu wypadkowi uległ w swej dalekiej podróży.

Zamiast też wesołych okrzyków, któreby powtórzyły echa, zaległo na wybrzeżu ponure milczenie.

Stanowczo przeprawy morskie nie sprzyjały partnerom gry Hypperbona: Crabbe przedstawił się w Teksas w ośmieszającym stanie obezwładnienia, komodora przywołał do Key-West w stanie nieprzytomnym, umierającego prawie.

Przywołany spieszenie chirurg po opatrzeniu ciężkiej rany na głowie, spowodowanej uderzeniem o ostrą krawędź skały, stwierdził nadto jeszcze silne wstrząśnienie mózgu, przy wielkiej utracie krwi.

(d. c. n.)



ZAGADKA.

Córa Mazurów Szarotce i Mysze z Orłowa.

Z pięciu tylko liter zagadka się składa,
Ale osobliwość z tem taką posiada,
Że gdy z niej ustąpi choć jedna litera,
Reszta zaraz inne znaczenie przybiera.
Gdy więc całość jedynie tam tylko być może,
Gdzie są jeziora, rzeki, albo nawet morza,
To skoro skreśle głoskę zaraz w pierwszym rzędzie,
Dość pospolity metal nazywać mi będzie.
Po straceniu następnej rozrywka niemiła
W tak już krótkim wyrazie pomieści się cała.
Lecz bywa też dla wielu celem życia trudów,
Tak, jak dawnemi czasy dla pierwotnych ludów.
Ostatecznie już tylko dwie litery many,
Których jako zaimka w mowie używamy
Skoro daleki przedmiot komuś wskazać chcemy.
Gdy wreszcie jeszcze jedną z tych dwóch usuniemy,
Spółgłoską w alfabecie jest, która została —
I wraz z tem już skończona też zagadka cała.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 29-go.

Póki młodość w tobie żyje
Póki serce silnie bije,
Żalu dźwięków stróż.
Patrz daleko, czuj głęboko,
Młodą duszę wznosź wysoko
I za celem goń.

T. L.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5—stósownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

W Austrii rocznie zhr. 6. — W Prusach: rocznie mar. 12.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Najlicniejszy naród na świecie, opracowała Tomira (z ryc.) — Róża bez kolców, opowiadanie osnute na tle przyrody ta-trzańskiej, przez Zofię Urbanowską (z ryc.) — Pocałunek słońca, baśń przez Z. Potworowską — Polowanie na żyrafy (z ryc.) — Testament dziwaka, powieść Juliusza Verne'a, przekład M. D. (z ryc.) — Łamigłówna i rozwiązanie. — Dodatek: Płgłarz, wiersz przez Helenę Bojarską (z ryc.) — Dzienniczek Wańdzi. — Pogadanki naukowe, chmury. — Mały Cygan, ze szwedzkiego przełożył Konstanty Bończa-Bukowski. — Łamigłównki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. — Dodatek książkowy: Na wakacjach, przez Maryę Łopuszańską.



Figlarz.

Chłopczyk ze mnie mały,
Ale figlarz wielki,
Umiem skakać, śmieszyć,
Znam różne figielki.

Dobrze mi na świecie,
Wesoło mi w domu,
Bo nigdy przykrości
Nie zrobię nikomu.

Nie zrobię też szkody,
Zachowaj mię Boże!
Czyż grzecznym chłopczykiem
Figlarz być nie może?

Dobrze mi, wesoło,
Więc bawię się szczerze,
A grecznej zabawy
Nikt za złe nie bierze.

Helena Bojarska.

Dzienniczek Wańdzi.

(Dalszy ciąg).

22 marca 1900 r.

Dziś mamy ogromny wiatr; jakiś okręt na morzu ywiesił sygnały wzywające ratunku. Z portu posłano u statek z ludźmi, ci, przywieźli załogę, ale okręt zatonął. bierano w mieście składkę dla rozbitków. Ojciec dał D franków a ja także 1 franka.

Mam teraz dużo pieniędzy, bo mi przysłał wuj Antos na moje wydatki. Ten wujek, to taki dobry, kochany, tak o nas myśli, tak często pisuje i wszystkim się zajmuje, co nas obchodzi. Bardzo kocham tego wujka.

Byłam z ojczulkiem nad morzem w porcie, aż strach jakie ono ciemne i rozgniewane, prawie czarne, a jeden

bałwan z taką szybkością pędzi na drugi, jakby im czasu nie stało. Co prawda, to ja mam trochę strachu jechać tak daleko morzem, ale tego rodzicom nie powiem, bo by się kłopotali o mnie.

Ojczulek, widząc moją przerażoną minę, gdy patrzyłam na rozchukane morze, zapytał się, czy nie będę się obawiała tej dalekiej podróży, która nas czeka. Ale ja widząc niepokój w jego drogich, kochanych oczach, odpowiedziałam zaraz:

— O nie, ojczulku, bo ty pojedziesz z nami, czego więc miałabym się obawiać, przecież tybys niepozwoił, aby mi się co złego stało, a jeśli zatoniemy, to wszyscy razem. Ale ja mam w Bogu nadzieję, że zdrowo zajędziemy i zdrowo powrócimy.

— Dalby to Bóg! — odpowiedział ojciec, ale spojrział na mnie tak jakoś łzawo i serdecznie, że mi się go żal zrobiło. Mój ojczulek najdroższy, ja go tak bardzo, tak ogromnie kocham, bo on nie jest jak inni ludzie. Mamusia zawsze powiada, że stoi wyżej moralnie i umysłowo od swoich kolegów. Taki ma prawy charakter, czysty jak łza, nigdy w życiu nie skłamał, od najmniejszych lat zawsze mówił prawdę. A przytem taki pracowity, codzień wstaje o piątej rano, zasiada do biurka i pracuje w najlepsze kiedy my z mamusią jeszcze śpiemy.

O szóstej idzie do koszar albo do arsenału, ale przedtem przychodzi nas budzić, mówi nam dzień dobry, usiadzie na chwilę najpierw na łóżku mamusi a potem na mojem i woła:

— Chłopak! — wstawać, już czas do klasy. Wtedy ja się zrywam i zarzucam ojcu ręce na szyję, kładę głowę na ramieniu i próbuję jeszcze w ten sposób się zdrzemnąć. Ale ojciec mi nie da i mówi, gładząc mnie po włosach:

— Wstań, wstań już, córeczko, córka żołnierza musi być dzielna. A lekcyce umiesz?

Potem mnie całuje, pieści, żartuje ze mną i ucieka, bo ja go nie chcę puścić, więc musi mi się dopiero wyrwać, z czego jest ogromny śmiech. Aż nieraz mamusia musi wołać:

— Wanduś, nie męcz ojczulka, już późno, musi iść do biura.

Ja jestem wysoka na swój wiek, więc nieraz gdy mamusia jest zajęta w domu, ja z ojcem sama wychodzę nad morze na spacer, to idziemy sobie pod rękę, to tak miło! Jakie to szczęście mieć takiego tatusia, którego można kochać, nietylko dla tego, że to ojciec i że Pan Bóg tak każe, ale dla tego, że jeszcze taki dobry, że taki kochany, jak ten mój tatuś najdroższy!

Mamusia zawsze mnie starannie obejrzy, gdy wychodzę z tatusiem, abym była ładnie ubraną. Biorę wtedy lepsze rękawiczki i kapelusz, nie ten w którym chodzę na pensyę. Mamusia stoi w oknie i patrzy na nas, my się obracamy kilkakrotnie, a potem na skrócie ulicy, kłaniamy się: ojciec czapką, nie po wojskowemu, a ja oddaję ukłon dworski, głęboki, i znikamy na skrócie. W Cherbürgu można takie figle na ulicy robić, bo zwykle ulice są puste.

Był dzisiaj list od cioci Kostuni, Antolek spadł z huśtawki i stłukł sobie kolano, musiał leżeć przez tydzień; bardzo mi go żal, on taki wesoły i żywy, to mu

pewno ciężko było tak spokojnie leżeć tyle dni. Dobrze, że właśnie w tym czasie pisałam do niego długi list i posłałam rocznik „Wieczorów Rodziny” z przeszłego roku, w którym jest tyle pięknych i zajmujących powieści i wiersze pani Duchinińskiej.

23 marca 1900 r.

Mój Boże, mój Boże! co się stało, co się stało! Ojciec zamienił się z panem kapitanem Maron i wyjeżdżamy już 1-go maja! Wpadł dzisiaj ojciec do domu i pytał mamy, kiedy ja byłam w klasie, czy zdąży wszystko załatwić do tego czasu. Mama, jak prawdziwa żona marynarza, odpowiedziała, że da sobie radę. Tak więc jedziemy do Tonkinu 1-go maja! Jest teraz u nas ruch nieskończony: szwaczki, praczki, ludzie do pakowania porcelany i szkła, wszystko to kręci się po naszym mieszkaniu i robi nieład okropny. Już nie chodzę na pensyę, tylko pomagam mamie w robieniu sprawunków, których mamy bez liku, chociaż jeszcze dużo zostawiamy do Paryża. Ojciec opowiada mi o Tonkinie cuda, bo już raz był tam dwa lata, za kawalerskich czasów.

Są tam podobno stonogi takie duże, jak palec, które mają w sobie ogromnie wiele fosforu i w nocy świecą zupełnie jak duża iskra, a jak komu spadną na twarz, to wypalą to miejsce, którego dotknęły. Tatuniowi spadł podczas snu raz taki robak i długo miał znak na czole. Potem są tam kameleony wielkości naszych kotów, zmienia się one i to zależnie od koloru, na którym siedzą lub stoją. Jeśli są na materji zielonej, to są zielonkowane, na czarnej ciemne, na białej białe i tak ciągle.

(d. c. n.)

POGADANKI NAUKOWE.

CHMURY.

Sądzę, że z uwagą czytacie każdy numer „Wieczorów” i przypominacie sobie, co mówiłam wam o parze wodnej. Wiecie więc, że wszystkie wody na świecie, a więc strumienie, rzeki, morza parują, t. j. zamieniają część swej wody na parę, co znaczy, że ze stanu płynnego przechodzą w stan lotny. Gdzież się podziewa ta para? Czy znika ona w powietrzu bez śladu? Nie, bo wiecie już zapewne, że żadna rzecz na świecie, żadna najmniejsza nawet cząsteczka zginąć bez śladu nie może. Oto z wielkiej ilości tej pary tworzy się coś dobrze wam znanego. Cóż to takiego?

Mamy dzień pochmurny. Słońca nie widać, schowało się za wielką, ciężką oponę z ciemnych chmur. Suną one po niebie ogromnemi kłębami, czasem jednolitą szarą warstwą pokryją cały horyzont. Z czego wytworzyły się te chmury? Oto ze znanej wam już dobrze pary wodnej. Wielka masa tej pary unosi się w górę i tam tworzy obłoki. Czy patrzyliście kiedy na niebo, po którym płyną chmury.

Naturalnie, nieraz nawet. Jak miło jest na wsi pod czas lata, leżąc na trawie, patrzeć na płynące po niebie obłoki. Tworzą one czasem dziwne jakies figury, które co chwila zmieniają kształty. Wiele tych białych obłocz

ków łączy się razem, ze wszystkich stron napływają nowe i nowe i oto całe sklepienie niebios pokrywa się ciemnymi chmurami. Zkąd wzięło się ich tam tak wiele? Oto tam w górze powietrze wilgotne oziębiło się, para wodna więc, która się w powietrzu znajduje, skrapla się i tworzy te chmury, które grożą każdej chwili deszczem. Bo wiecie przecie, że chmury nie zawsze wiszą w powietrzu: czasem rozpraszają się w powietrzu ciepłym, z którym się zetkną, czasem znowu spadają na ziemię jako deszcz. Ale oto znowu wypogadza się. Słońce spogląda wesoło na ziemię, a resztki chmur znowu biegną po niebie, pędzone wiatrem. Powiecie może, że czasem wiatru nie czuć wcale, a jednak chmury płyną tak szybko. Tak. Wiatru niema tu w dole, ale tam w górze jest z pewnością i pędzi chmury dalej i dalej. Unoszą się one nad ziemią nisko, co szczególnie zauważyć można w górach. Jeśli pojedziecie kiedy do Zakopanego i pójdziecie na szczyty której z gór, wówczas zobaczycie pod stopami waszemi płynące chmury.

Z. K.

Mały cygan

ze szwedzkiego przełożył

Konstanty Bończa - Bułowski.

(Dokończenie).

Wkrótce całe miasteczko, dzięki chłopcom, którzy każdemu opowiedzieli zdarzenie na dziedzińcu u doktora, było szczególnie wzburzone. Wszyscy na razie potracili głowy, wkrótce jednak zebrała się garstka w około burmistrza i sierżanta Flinka i z nimi na czele pospieszili na miejsce, gdzie się rozłożyli cyganie, dla sprawdzenia, czy mały cygan rzeczywiście jest synem burmistrza z Skräpingu.

Ale cyganie prawdopodobnie przeczuli co im groziło, znikli a nikt nie umiał powiedzieć, w jakim udali się kierunku. Dobrzy ci ludzie stali tam teraz, nie wiedząc co dalej czynić należy.

— Opuścili miasteczko — zawołał jeden z mieszczan.

— Tak, ale jak ich teraz odnaleźć? — wołał drugi.

— Tak, ale jak ich teraz odnaleźć? — powtórzyli wszyscy razem.

— Zaraz wam powiem — rzekł po chwili Kalle Flink, należący również do gromadki.

— Ty wiesz, Kalle? W jaki sposób? — słychać było ze wszystkich stron pytania.

— Myślę o pożyczaniu psa od starszego strażnika, wiecie, tego od tropienia złodziei; tu leży kawałek szmaty, którą zostawili cyganie, damy mu ją powąchać i bądźcie pewni, że ich wytropi.

Dobra myśl; posłano więc chłopca od szewca do strażnika, który niedaleko mieszkał, z prośbą o pożyczanie psa.

Niedługo przyprowadził wysłaniec psa, który nazy-

wał się Karo. Pies, obwąchawszy podaną mu szmatę, począł biegać w około, aż nareszcie zwrócił się w stronę pobliskiego lasu, przez który prowadzi gościniec. Mieszkańcy miasteczka podążyli za mądrym zwierzęciem, które przebywszy kilkanaście sążni przez gościniec, skręciło na mało drózkę leśną i wkrótce przystanęło, wydając ciche mruczenie.

— Zatrzymajcie się tutaj i sprawujcie się cicho! — rzekł burmistrz do mieszczan, ujrawszy niepokój psa. — Panie sierżancie, my razem pódziemy zobaczyć, gdzie są cyganie.

Zaledwie uszli kilkanaście kroków, gdy usłyszeli głosy ludzkie i wkrótce stanęli przed otwartą polanką; tam rozłożyli cyganie swój namiot. Każdy stanął za drzewem zkąd wygodnie mógł widzieć, co się dzieje w obozie.

Mały cygan siedział na ziemi, a przed nim stał starzec z kijem w ręku. Trochę dalej siedziała stara cyganka z małpą na kolanach.

— Czy nie mówiłem, że jeżeli życie ci miłe, nie masz mówić nic o twych rodzicach? — krzyknął starzec, obrócony do chłopca.

— Życie jakie teraz prowadzę nie jest mi miłsze od nadziei ujrzenia rodziców. Ojciec był burmistrzem, i jeżeli was złapie, to nie będzie wam wesoło — rzekł, łkając chłopczyzna.

— Niech twój ojciec będzie dziesięć razy burmistrzem, nie dostanie mnie w swoje ręce; ale powtarzam ci, jeżeli nie skończysz raz z gadaniem o rodzicach, pewnego pięknego dnia zabiję cię. Tymczasem pokosztuj tego.

Przy tych słowach podniósł stary cygan grubą pałkę, ale nie zdążył uderzyć dziecka, gdyż uczuł się pochwyconym za kołnierz przez silne dłonie i usłyszał donośny głos, który go pytał:

— Za co, do miliona bomb i kartaczy, bijesz tego chłopca?

— On... on... uderzył małpę. — Wyjąkał zmieszany stary.

— Nie kłam nędzniku — zawołał groźnym głosem sierżant, gdyż on to chwycił cygana za kołnierz. — Wiem o wszystkim, chłopca tego ukradłeś burmistrzowi ze Skräpingu.

— Chłopak jest moim synem — odpowiedział cygan, i gwałtownym ruchem dał znak chłopcu, by milczał.

— Nie kłam nędzniku — powtórzył sierżant, poczem zwrócił się do chłopca, pytając:

— Słuchaj mały! Czy twój ojciec jest burmistrzem w Skräpingu?

— Ach, tak panie! — łkając rzekło biedne dziecko. — Panie, zaprowadź mnie do niego!

— Oto tam właśnie idzie, lecz poczekaj trochę, najpierw musimy aresztować tych cyganów.

Zaledwie dokończył tych słów, gdy stary cygan z szybkością błyskawicy, wyjął z jednej kieszeni nóż, podczas gdy drugą chwycił sierżanta za gardło. Już podniósł ramię, by zadać cios. Jeszcze jedna chwila a byłoby po biednym sierżancie Flinku. Ale właśnie dał się słyszeć strzał i ramię cygana opadło bezwładnie. Teraz wyszedł z ukrycia burmistrz z rewolwerem w ręku, a sierżant Flink nie omieszkwał podziękować mu za uratowanie życia.

Tymczasem zaalarmowani wystrzałem pozostali ludzie przybyli na miejsce wypadku i po opowiedzeniu im przez burmistrza i sierżanta o tem, co się stało, zaprowadzono cyganów i syna burmistrza Svena ze Skräpingu do miasteczka. Cyganów umieszczono w miejscowym więzieniu do czasu przeprowadzenia śledztwa w sprawie kradzieży chłopca. Potem posłano zawiadomienie do Skräpingu, skąd przybył burmistrz i poznał w małym cyganie swego syna, uważanego już za straconego.

Kalle i Pelle zostali obsypani podziękowaniami, ponieważ oni byli pierwsi, którzy zwrócili uwagę na małego chłopca i rzucili podejrzenie na cyganów. Obiecane przez burmistrza 500 koron, zostały umieszczone na ich rachunek w kasie oszczędności. Oprócz tego pisano o nich w gazetach i od tego szczęśliwego dnia, nabrano dla nich pewnego szacunku i zapomniano o wielu psotach.

Teraz, kiedy zostali „małymi bogaczami,” bo każdy miał po 10 koron rocznego dochodu, postanowili szczerze zabrać się do pracy i w tem postanowieniu wytrwali. Burmistrz ze Skräpingu nie poprzestał na powyżej wspomnianem wynagrodzeniu, ale umieścił ich później w gimnazjum, które ukończyli z najlepszymi świadectwami i nagrodą

SZARADA.

Dla drogiego brata od Frani K.

Pierwsze zaimek — zwie się wskazujący,
Drugie znów słowo — tryb oznajmujący,
Wszystko zaś imię jest tego świętego,
Który przydomek zyskał niewiernego.

ŁAMIGŁÓWKA W KWADRACIE.

1 W kwadracie o 5 przedziałkach, ułożyć
. 2 w każdym rzędzie wyraz pięćzłogłoskowy,
. 3 aby litery oznaczone liczbami złożyły nazwę państwa w Azji.
. 4
. 5

Znaczenie wyrazów: 1) Wielki wojownik rzymski. 2) Miasto w gub. Lubel.

3) Broń ludów dzikich. 4) Ptak z rzędu łańcuch. 5) Miasto we Francji.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 29

Szurudy. Sto — do — ły.

Łamigłówni sylabowej:

1) Złocze**w**. 2) Ostenda. 3) Feza**n**. 4) Izmi**d**. 5) Aleksandrya.
Zofia — Wanda.

Łamigłówni arytmetycznej:

Helenka miała w koszyku 33 jabłek.



Skrzynka do listów.

Nadesłany ostatnio wierszyk przez p. Mieczysława G. nie nadaje się nam tym razem — może inny utwór będzie szczęśliwszy.

List Aldzi P. do Jaskółki już jej nie zastał w Warszawie ale i Redakcja chętnie koresponduje ze swymi czytelnikami i zapoznaje się z nimi. Wybrane premium wysłaliśmy; pozostałe z rachunku kop. 60 stosownie do życzenia mamy, otrzymały Kolonie Letnie. Jeżeli tylko błędy ortograficzne poprawione będą, nie mamy nic przeciwko temu. Z pisma twego bardzo nam trudno sądzić o twym wieku, bo jest jeszcze dość niewyrobione. Jeżeli chcesz ładny wyrobić sobie charakter pisma uprawiaj się pilnie w kaligrafii, lecz koniecznie w podwójnych liniach.

Bujaj sobie swobodnie i śpiewaj wesoło, miły Skowroneczku, używaj w pełni tej swobody, która ci tak jest przyjemną po całorocznej nauce szkolnej i zasłużonej promocji. Mądrość życia polega właśnie na odpowiedniemu użyciu każdej chwili: bawmy się sercem całem gdy pora i sposobność po temu, pracujmy szczerze w godzinach pracy.

Skoro **Witusia B.** wprawiała się już w szydelkową robotę, niechże skorzysta z nabytej umiejętności i stanie do naszego konkursu z tego rodzaju robótką, tem więcej, że takowa warunkami konkursu jest objęta. Ale radzimy ci szczerze, dziecino droga, polubić igielkę i zaznajomić się z nią dobrze, bo igła jest bez porównania użyteczniejszą od ulubionego przez ciebie szydelka. Bez igły nie mielibyśmy najkonieczniejszych części ubrania, szydelko wyrabia przeważnie rzeczy mniej konieczne.

Margarina, o którą **Zdzisław D.** zapytuje jest wytworem sztucznym, naśladowującym nasze masło śmietanowe; że zaś jest o wiele od niego tańszą, więc też rozpowszechniła się niezmiernie. Gdy jest sumiennie spreperowaną może być bez szkody dla naszego zdrowia do pokarmów użytą. Niestety jednak i do tego przemysłu zakradło się oszustwo i niesumiennie produkowana margarina szkodzi naszemu organizmowi. Pierwszy pomysł do tej fabrykacji dał Francuz Mége-Mouriès, używając jako głównego materiału świeżego łoju wołowego. Najwięcej margaryny wyrabiają w Ameryce, w Stanach Zjednoczonych, gdzie też stanowi jeden z ważnych przedmiotów handlu. W Europie holenderska margarina odznacza się przeważnie dobrocią, gdy natomiast niemiecka jest ogólnie fałszowaną.

Ogrodnicze. Umiejętna hodowla róż wymaga dużo doświadczenia, jest wszakże nadzieja, iż go nabędziesz, jeżeli tak wczesnie chcesz się temu wyłącznie poświęcić. A jest to dział w ogrodnictwie bardzo wdzięczny, nawet jako przemysł korzystny, a dla kobiety bardzo właściwy. O podręczniku odpowiednio radzimy zwrócić się najpewniej do redakcji „Ogrodnika polskiego” Mazowiecka 11, tam podadzą najlepszy, wypis dzieł w tym kierunku, nie tylko w naszym lecz i obcych językach.

Ciekawskiej. Kim jest Srebrna Gwiazdka, nie wiemy. Jaskółka buja już na swobodzie daleko za naszym miastem. Ciesz nas, że tak wielką przyjemność znajdujesz w czytaniu „Wieczorów.” Rozwiązanie dobre, ułożone szarady przejrzymy, a choćby też te pierwsze próby nie były drukowane, nie zrażaj się tem, lecz uprawiaj przy wolnym teraz czasie, bo wprawa w tych rzeczach jest bodaj najważniejszą.

Dobre rozwiązania oraz własnego układu łamigłówni i szarady nadesłali: **Biała Stokrotka, Wróbelek, Podróżnik, Stefan W., Zochna i Marychna, Wieczorna Zorza, Romcia W., Srebrna Gwiazdka i Paprotka.**